

STULECIE WINNYCH
— TRYLOGIA —

*Pamięci moich dziadków
oraz ojca – Zofii, Stefana
i Janusza Grabowskich.*



STULECIE WINNYCH
— CI, KTÓRZY PRZEŻYLI —

Piorun przeszył niebo, kiedy Kasia Winna wydała z siebie krzyk. Chwilę później letni deszcz lunął na pola Stanisława i Katarzyny z Ożarówskich Winnych, co stanowiło swego rodzaju błogosławieństwo, bo wiosna była tego roku wyjątkowo sucha.

– Niech pada – mruknął Stanisław i spojrzął ze zdumieniem na żonę, która miała minę, jakby jej coś zaszkodziło.

Kasia tymczasem w dole brzucha poczuła znajomy ból, a w plecach coś jej eksplodowało i popatrzyła z przerażeniem na swojego męża, który zajęty był spoglądaniem przez okno i liczeniem błyskawic. Tymczasem Andzia, daleka kuzynka i dziewczyna do pomocy, sprzątała po kolacji i zapędzała do spania Tadzika i Wacusia. Chłopcy, którzy przekomarzali się szczęśliwi, że właśnie szkoła się skończyła, nie chcieli słyszeć o kładzeniu się do łóżka.

– Aaaa!!! – znacząco wykrzyknęła Kasia, u której przerażenie mieszało się ze złością na małżonka, że nic a nic nie widzi poza wodą lecącą z nieba i czubkiem własnego nosa.

– Czego krzyczysz, kobieto? – Stanisław właśnie nabił fajkę i pykał sobie z zadowoleniem, patrząc na ścianę deszczu i wyobrażając sobie, jak to dobrze dla roślin.

– Bo to już – powiedziała przytomnie Andzia, patrząc na Kasiną twarz ściągniętą grymasem bólu.

Sama Kasia ograniczyła się do energicznego pokiwania głową. Tadzik i Wacusię wpatrzyli się z przerażeniem w matkę, która rzadko siadywała na stołku, a już nigdy, przynajmniej nie wyglądała tak, jakby miała zaraz wybuchnąć, albo co gorszego. Siedmioletni Tadzik chciał natychmiast przytulić się do matczynej piersi i uzyskać zapewnienie, że wszystko jest w porządku. Młodszy o rok Wacek podbiegł do Andzi i próbował wejść jej pod spódnicę, ale dziewczyna ofuknęła go, a potem zdzieliła ścierką. W tym samym czasie Kasia łagodnie, ale stanowczo odsunęła Tadzika i spojrzała na Andzię.

– Lecę po Karwasiową – powiedziała dziewczyna i zdjęła fartuch, który położyła na siedzeniu krzesła.

– A po cóż wam Karwasiowa? – Zdziwił się Stanisław, który ciągle zdawał się nie rozumieć, o czym mowa. – I gdzie ty, Andziu, pójdiesz w taki deszcz?

– Bo to już – wyjaśniła mu dziewczyna spokojnie i dodała: – Pomóż pan żonie, panie Stanisławie, i wodę gotuj, a ja polecę. Deszcz, nie deszcz, iść trza...

Do Stanisława prawda docierała bardzo powoli, nieco więcej zrozumiał, kiedy na podłodze pod spódnicą żony zobaczył okazałą kałużę. Ale nawet wtedy zachował się z godnością, podszedł do Kasi i podał jej ramię.

– Chłopcy! – zarządził. – Spać, i to już!

Tadzik pociągnął chlipiącego Wacka za koszulę i poszli razem do pokoju, gdzie, jak się potem okazało, wleźli do łóżka nieprzebrani i zasnęli wciśnięci ciasno jeden w drugiego. Stanisław zaprowadził żonę do pokoju, pomógł jej zdjąć buty ze spuchniętych nóg, położył i przykrył troskliwie kołdrą, chociaż 26 czerwca roku 1914 był dniem bardzo ciepłym. Potem udał się do kuchni, gdzie nalał wodę do wielkiego gara i rozpałił w piecu. Następnie wrócił do pojękującej żony i zapytał niezbyt taktownie:

– To już? Bo to wcześniej jakoś...

– No wcześniej, wcześniej... – potwierdziła Kasia. – I jakoś tak inaczej...

– Jak inaczej? – Chciał wiedzieć Stanisław.

Prawda była taka, że był przerażony. Sam miał czworo rodzeństwa. Jego własna matka Bronisława urodziła siedmioro dzieci, z których dwoje zmarło przy porodzie. Dwójka w osobach Romka i Władka dołączyła do małej armii Winnych razem z nim oraz Kajtkiem i Stefką. Potem jego żona Kasia urodziła Tadka, a niespełna rok po nim Wacusia i za każdym razem krzyczała jak zarzynane zwierzę, a Stanisław obiecywał sobie, że nigdy więcej jej nie zapłodni. Tym razem rzeczywiście było inaczej. Zamiast krzyczeć, Kasia pojękiwała cichutko, trzęsła się jak w febrze i patrzyła przerażonym wzrokiem na męża, który dałby wszystko, żeby Andzia wróciła z Karwasiową i wypędziła go z pokoju, mówiąc, żeby sobie poszedł, bo rodzenie dzieci to nie jest męska sprawa.

– Umrę – wyszeptła Kasia i zaniosła się płaczem, który gładko przeszedł w spazmy.

Stanisław nie wiedział, co odrzec i bąknął coś w stylu: „od rodzenia dzieci nikt jeszcze nie umarł”, ale szybko zamilkł, zdawszy sobie sprawę z tego, jak oczywistą powiedział nieprawdę. Kasia łąpała powietrze niczym ryba, żeby następnie zwinąć się w kulkę, oczywiście na tyle, na ile pozwalał jej duży brzuch, potem wyginała się do tyłu, zupełnie jak opętana, unosiła w dziwnym spazmie, wytrzeszczając oczy, żeby pod koniec upiornego cyklu opaść na poduszki. Ulgi doznawała tylko na jakieś dwie minuty. Na ten czas i Stanisław nabierał powietrza, wychodząc z pokoju i wchodząc znów po chwili, kiedy spazm zamieniał się w rżenie, zwijanie w kulkę, a wyginanie zaczynało się od początku.

– Stanisławie. – Drgnął z ulgą, kiedy usłyszał głos Karwasiowej, a jej pękata sylwetka wtoczyła się do domu. – Wody nagotował?

– Tak, tak – odpowiedział grzecznie pobladły Stanisław i odłożył fajkę.

– To idzie mnie stąd, a nie wchodzi i wychodzi. Tylko wiatr robi i dzieciak się na wejściu do świata zaziębi – huknęła akuszerka i wypchnęła Stanisława do kuchni, przykazując, żeby tę wodę zagotowaną przyniósł.

Andzia z własnej inicjatywy poszła po prześcieradła, a potem wróciła, żeby pomóc ciotecznej ciotce i pani Kasi, która zawsze była dla niej dobra i trzymała ją u siebie na łaskawym chlebie.

Kiedy Stanisław usiadł na kuchennym krześle, żeby godnie czekać na kolejnego potomka, Andzia i Karwasiowa przyglądały się Kasi, która miała granatowe wargi a na czole krople potu wielkości grochu.

– Pokrzyycz sobie – zachęciła ją kobieta, a Andzia pokiwała głową.

– Nie – chlipnęła Kasia i znów wpadła w spazmy.

Karwasiowa zanurzyła rękę pod kołdrę, a kiedy włożyła ją jeszcze głębiej, Kasia wreszcie zaczęła krzyczeć, co przyniosło wszystkim ulgę. Stara akuszerka odrzuciła przykrycie i popatrzyła na płamę czerwieni, która rosła na prześcieradle. Zmarszczyła brwi i powiedziała do Andzi:

– Za dużo tego...

– Inaczej niż zwykle... – przytaknęła skwapliwie Andzia, która w swoim życiu widziała tylko jeden poród, u krowy, która ocieliła się w gospodarstwie jej rodziców.

Na szczęście Kasia nie słyszała żadnych głosów, otepiała bólem, który rozsadał jej nie tylko brzuch, ale całe plecy i głowę.

– No dalej, kochaneczko. – Zaniepokoiła się Karwasiowa. – Trzeba było wcześniej po mnie posłać. Szybko poszło rozwarcie. Już trzeba wypychać. Zaprzyj się i wypychaj...

Kasia, zachęcana posuwistymi ruchami Andzi, nabrała powietrza i próbowała zrobić tak samo, jak przy Tadiusi i Wacku. Wtedy, owszem, bolało i było ciężko, ale mogła nabrać powietrza i wydmuchnąć do brzucha, tak kilka razy, aż w końcu słyszała płacz noworodka i ból się kończył. Teraz nie mogła nawet odetchnąć dla siebie, a co dopiero dla dziecka.

– Kasia. – Karwasiowa spojrzała groźnie. – No idzie coś, ale trzeba pomóc dzieciakowi...

Tylko że Kasia zamiast pomóc, zemdląła, co przstraszyło Karwasiową, a Andzię doprowadziło do płaczu.

– No zesz ty diable jeden i Mateńko Przenajświętsza! – krzyknęła Karwasiowa, postanawiając zdać się na wszelkie moce, czyste i nieczyste, a żeby jeszcze losowi dopomóc, dzieliła Kasię sękatą ręką prosto w twarz.

Kobieta odzyskała przytomność i znów zaczęła jęczeć.

– Kasia!!! – Karwasiowa dygotała z niepokoju. – Nabieraj powietrza i dalejże, bo mi tu umrzesz i dzieciak też do piachu z tobą pójdzie. Już!!!

Położnica, owszem, i nabrała powietrza, ale zamiast przeć, wrzasnęła wielkim głosem.

– Ty draniu! Ty gadzie jeden! W życiu fajfusa włożyć ci nie dam! Kury macaj, ty zwierzu jeden! Krowie wsadzaj do dupy, a nie mnie!!!

Andzia aż usiadła na brzegu łóżka i zaczęła żegnać się, oniemiała i czerwona ze wstydu. Karwasiowa, która niejedno podczas porodu usłyszała, odetchnęła z ulgą i poklepawszy Kasię po ręce o niebieskich paznokciach, powiedziała:

– No, wreszcie do rzeczy gadasz... Wsadzi, wsadzi jeszcze niejednego raz... Sześć niedziel sobie policzy i zaraz wsadzi. Chłopy takie są... No dalej!

Kasia rozejrzała się dokoła i zaniosła płaczem.

– Tak okropnie boli... – wychlipała.

Andzia w niemym współczuciu usiadła u wezgowia położnicy, objęła ją za głowę i zaczęła głaskać po włosach. Patrząc na Kasię, doszła do wniosku, że musi być jakiś sposób na to, żeby nie rodzić dzieci, ale postanowiła poruszyć ten temat przy okazji z Karwasiową, gdyż uznała, że jest ona najlepszą osobą do udzielania tego typu rad. Skoro umie pomóc przyjść dzieciom na świat, a umie i wysłać dzieciaka do aniołków, co Andzia bardzo dobrze wiedziała, chociażby z relacji swojej rodzonej siostry, to na pewno wie, co trzeba zrobić, żeby i na sianie mieć przyjemności, i nie cierpieć tak jak biedna pani Kasia.

– Boli, boli, bo mamy grzech pierworodny. – Pokiwała głową Karwasiowa i nie czekając już dłużej, zaczęła skubać Kasię po odkrytym brzuchu. – W Piśmie Świętym napisane, że w bólach będziemy rodzić... I Pan Bóg słowa dotrzymał... A że mężczyzna, to tylko na nas, kobiety, takie cierpienie sprowadza...

Andzia na widok falującego brzucha i coraz bardziej czerwonego prześcieradła puściła Kasiną głowę i uciekła na podwórze zwymiotować.

– Główkę widać! – Ucieszyła się akuszerka i zaczęła wypychać dziecko od góry, skubiąc przy tym brzuch, jakby przekomarzała się z Kasią.

Kobieta wreszcie nabrała powietrza i odepchnąwszy się nogami, wyparła do połowy główkę dziecka.

– Rude włoski ma – powiedziała radośnie akuszerka. – Kasia, jeszcze raz i zobaczymy, po kim ma noski!

Kasia zapałała się i wydawszy zwierzęcy ryk, podrzuciła miednicę tak energicznie do góry, że Karwasiowa bała się przez chwilę, że dziecko wyskoczy z matki jak odetkany korek i będzie musiała łapać je niczym piłkę szmacciankę. Na szczęście nic takiego się nie stało, a nawet pokazała się cała główka. Akuszerka kazała Kasi leżeć

spokojnie i czekać. Chwyła fachowo główkę dziecka w obie ręce, poczekała na skurcz i kiedy wystąpił, wyciągnęła całe z brzucha Kasi. Skóra zapadła się do środka, a Kasia wyraźnie odetchnęła. Dziecko zaczęło płakać.

– Dziewczynka. – Karwasiowa uśmiechnęła się do Kasi.

Potem fachowo zawiązała pępowinę z dwóch stron i zamoczonymi w gorącej wodzie nożyczkami przecięła między węzłami. Łóżysko wyszło z Kasi praktycznie samo. Karwasiowa obejrzała je, starannie patrząc, czy jakiś kawałek nie został w ciele położnicy, bo wiadomo, że oznaczałoby to długie chorowanie, a kto wie, może nawet i śmierć w położu. Było jednak caluteńkie, prawie czarne i lśniąco, więc zawinęła je starannie w czystą ściereczkę i schowała do przygotowanej dębowej skrzyneczki. Miała zwyczaj chowania łożysk do dębowego pudełka, które wyrzeźbił jej mąż, i przechowywania go w pniu drzewa na podwórzu tak długo, aż szernieje i wyschnie całkiem. Potem zakopywała je w ogrodzie. Nikt nie wiedział, czemu tak robiła, ona sama też nie, ale nauczyła się tego od swojej matki położnej, ta z kolei od swojej. Zdarzało się, że Karwasiowa zatrzymywała łożysko, ale tylko wtedy, kiedy na ciele noworodka były znamiona albo przedgłowie i trzeba było z łożyska zrobić okłady, żeby dzieciakowi nie zostały brzydkie przebarwienia. Łóżysko było na to jedynym lekarstwem, co też akuszerka wiedziała od swojej matki, która dowiedziała się tego od babki. Inna sprawa miała się z przeciętą pępowiną. Część od strony dziecka, zawiązana jedwabną nitką, odpadała z czasem sama i rodzice małego decydowali, co z tą dziwną pamiątką po porodzie zrobić. Jedni po prostu wyrzucali, inni trzymali „pępuszki” w szkatułkach, jeszcze inni zakopywali przy pełni księżyca pod dębami, jeśli to były chłopięce pępowiny, bądź pod lipami, jeśli odpadły z brzuchów dziewczynek. Karwasiowa odcinała „swoją” część pępowiny tuż przy łożysku, jeszcze zanim zawinęła je w szmatkę, a następnie wyrzucała do wiadra z pomyjami. Kiedyś na pytanie, dlaczego tak robi, wrzuciła ramionami i powiedziała: „Placek to ziemia, a to długie jedynie żmija, którą trza tępić”.

Kasia tymczasem leżała jak nieżywa, a dziecko kwiliło cichutko w objęciach akuszerki, która czystą szmatką, niezwykle starannie obmywała je ze śluzu i krwi. Dziewczynka otworzyła zapuchnięte powieki i uważnie spojrzała na Karwasiową.

– No co, brzydka ty? – Uśmiechnęła się do dziewczynki, odsłaniając brak górnych trzonowców.

– Dlaczego ciocia mówi, że dziecko brzydkie? – Oburzyła się Andzia, która blada jak ściana po wymiotach, ale chętna do pomocy, stanęła w drzwiach pokoju.

– Cicho. – Zgromiła ją akuszerka. – Chodzi o to, żeby złe duchy się nią nie zainteresowały. A jak usłyszą, że dziecko brzydkie, to będą się trzymały z daleka...

– Aha. – nieprzytomnie odparła Andzia. – Co ja mam teraz, ciociu, robić?

– Posiedź przy niej. – Karwasiowa ze współczuciem pokiwała głową. – Biedulka się nacierpiała. Ale wcześniej idź do Stanisława i powiedz mu, że ma córkę.

Andzia wstała, wygładziła spódnice i wyszła. Akuszerka włożyła pod pupę Kasi czyste prześcieradło, a między nogi zawinięte w czyste płótno żelazko na duszę.

– Pan Stanisław śpi – zameldowała Andzia po powrocie. – Zbudzić?

– Niech śpi. – Karwasiowa machnęła ręką. – Z chłopami to tak zawsze. Ty się, kobito, namęczysz, a ten śpi, jakby sam urodził...

– A co to jest? – Zaciekawiała się Andzia, patrząc na owinięte żelazko przytknięte do krocza Kasi.

– Zimne – wyjaśniła krótko akuszerka. – Za dużo krwi, za dużo...

Potem poklepała Kasię po policzku.

– Zobacz sobie, kochana – powiedziała. – Córeńkę masz...

Kasia otworzyła oczy, zatoczyła nieprzytomnie wzrokiem wkoło i wpatrzyła się w punkt nad głową Karwasiowej. Na dziecko nie zwróciła najmniejszej uwagi. Wyglądała nieco upiornie, pewnie przez tę bladość i sine wargi oraz spocone czoło, do którego przylepiły się wilgotne włosy, a może to światło księżycy tak się na jej twarzy odbijało. Andzia pomyślała sobie, że Kasia patrzy, jakby jedną nogą była na tamtym świecie. Akuszerka natomiast odwróciła się, żeby zobaczyć, na co się Kasia tak zapatrzyła, a w tamtym miejscu na ścianie był portret Matki Boskiej Karmiącej, jeden z pięciu, które babcia Bronia przywiozła z Częstochowy i rozdała swoim pięciu synom, nakazując, żeby powiesili obrazek nad drzwiami w sypialniach, a będzie im się udawało potomstwo. Cała piątka zrobiła, co matka nakazała, więc nikt się nie dziwił, kiedy u Winnych rodziły się dzieci w liczbie co najmniej dwóch rocznie, a do tego same chłopaki.

– Pomodlimy się do Najświętszej Pani, Kasiu? – zagadnęła akuszerka coraz bardziej zaniepokojona brakiem kontaktu z dziewczyną.

Kasia, zamiast odpowiedzieć, zaczęła znów krzyczeć, trzymając się za brzuch tak samo, jak kilka minut wcześniej, kiedy rodziło się dziecko.

– Cicho, cicho. – Andzia rzuciła się głaskać Kasię po twarzy i rękach, bojąc się, że miła i cicha dotąd kobieta zwariowała w wyniku utraty krwi albo samego porodu.

– Już po wszystkim, moja złota, już po wszystkim...

Karwasiowa podała noworodka Andzi.

– Umyj całą i zawiń w pieluszki i kocyk...

A potem zbliżyła twarz do twarzy Kasi i zaczęła coś szeptać. Kasia, początkowo wrzeszcząca i zawodząca, zaczynała się uspokajać. Toczyła wprawdzie nieprzytomnym wzrokiem dokoła, zdając się nie poznawać ani Andzi, ani Karwasiowej, ale przynajmniej tak nie krzyczała. Deszcz zaczął padać ze zdwojoną siłą i akuszerka

pomyślała, że nie dość, że poród kończy się ciemną nocą i trzeba będzie do siebie koło cmentarza przejść, to jeszcze leje deszcz.

Karwasiowa pomogła przyjść na świat kilku tysiącom dzieci. Pochlebiała sobie, że w porównaniu z innymi akuszerkami miała niewielką śmiertelność zarówno wśród nowo narodzonych dzieci, jak i ich matek. Kiedy dziecko się rodziło, najpierw modliła się do Matki Bożej, żeby małego na świat puściła, a nie brała od razu do siebie. Jakiś głos szeptał jej wprawdzie z tyłu głowy, że Matka Przenajświętsza nie bardzo wie, jak się dzieci robi, ale za to ma pojęcie o porodach w trudnych warunkach, ponieważ sama urodziła w stajence. Jej także zdarzało się witać dziecko w stajence, na łące, a nawet raz jedyny w obórcie, ale najczęściej biegła do domów, gdzie znajdowała wrzeszczące położnice w różnych fazach porodów. Bywało, że siedziała przy kobietach tyle godzin, że słońce zachodziło nad nimi dwa razy, zanim wydały dziecko na świat. Oczywiście, bywało i odwrotnie, kiedy kobiety rodziły jak maszynki, w godzinkę niecałą, kilka razy westchnąwszy. Potem przespiały popołudnie i wstawiały zwierzętom dać obrok. To, czego naprawdę nienawidziła, to mody na porody w szpitalach. Do tych obcych Karwasiowej mentalnie instytucji zjeżdżały głównie bogate kobiety ze stolicy oraz innych dużych miast, a nie mieszkanki Brwinowa, ale akuszerka doskonale wiedziała, że to tylko kwestia czasu, kiedy i te biedniejsze zapragną rodzenia po nowoczesnemu. Słowem, Karwasiowa miała ogromne doświadczenie oraz – co nie zawsze idzie w parze – intuicję. A ta podpowiadała jej, że z Kasią jest coś nie tak. Odkryła kołdrę i zerknąwszy z westchnieniem na nową, potężną plamę krwi na prześcieradle, wzięła żelazko i odłożyła na bok.

– Pokaż krocze, kochaneczko... – powiedziała łagodnie, zbliżając lampę naftową do brzucha kobiety.

Andzia stała odwrócona tyłem i szeptała coś do malutkiej dziewczynki, kiedy Karwasiowa wydała krzyk podobny do tego, który przed chwilą wyszedł z płuc Kasi. Andzia także wrzasnęła i o mało nie upuściła dziecka. Kasia jak na komendę także zaczęła krzyczeć i wic się na łóżku.

– Andzia! – Karwasiowa odzyskała mowę. – Budź Stanisława, niech bierze konie i jedzie po doktora! Jest tu jeszcze jedno!

Andzia odłożyła dziecko do przygotowanej kołyski i chociaż nie zrozumiała, gdzie to „jeszcze jedno”, nie pytając o nic, pobiegła do pokoju, w którym spał Stanisław, przemogła się i zaczęła dobijać się do drzwi, krzycząc:

– Panie Stanisławie, ratunku!

– Co się stało?! – Zaspany mężczyzna wyszedł z izby, a Andzia odwróciła wzrok, ponieważ był niekompletnie ubrany.

Jako mężczyzna Stanisław nie wzbudzał w Andzi żadnego pożądania. Nie marzyła skrycie ani o tym, żeby zająć u jego boku miejsce Kasi, ani o tym, żeby miał na nią ochotę. Nawet zwierzyła się kiedyś swojej siostrze, że Winny powinien się nazywać Ponury albo Smutny, co bardziej do niego pasuje. Teraz też patrzyła na wpół rozebranego mężczyznę i złość ją brała, że śpi sobie, a jego żona zwariowała z bólu i upływu krwi. Nawet nie czekał pod drzwiami, żeby obejrzeć dziewczuskę, która się właśnie urodziła.

– Stało się! – Natarła na niego. – Ciozia kazała panu po doktora jechać, bo z panią Kasią naszą... nie tego...

Winny zamknął drzwi i po minucie wynurzył się całkowicie ubrany, w spodniach, koszuli i marynarce. Poszedł szybko do sieni, tam włożył buty i kapelusz, ale po chwili zawahał się i, ignorując poganiającą go dziewczynę, poszedł do pokoju, gdzie leżała żona, uchylił drzwi i spojrział niepewnie na oświetlone łóżko.

Kasia już nie krzyczała i nie wiła się, ale leżała jeszcze bardziej spocona i co chwila traciła przytomność. W kołysce cichutko kwiliło dziecko, a Karwasiowa grzebała między jej nogami.

– Biegiem po doktora – wycodziła, zerkając na niego z ukosa. – Bo będzie za późno...

– Co z nią? – odważył się zapytać Stanisław Winny.

– Dla niej, po mojemu, to nie ma nadziei – powiedziała akuszerka. – Ale dziecko trzeba ratować...

Winny był zbyt wstrząśnięty, żeby pytać o szczegóły. Głęboko sobie wyrzucił, że poszedł spać, zamiast czuwać pod drzwiami. Na swoje usprawiedliwienie miał tylko to, że była noc, poród nie był męską sprawą, a Karwasiowa kazała mu wyjść. „Przecież”, myślał, zaprzęgając „Kasia urodziła i Wacka, i Tadzika szybciotko i bez wysiłku, czemu tym razem jest inaczej?”. Już pod domem doktora przyszło mu do głowy, że akuszerka powiedziała coś o ratowaniu dziecka i że jego żona umrze, i ta myśl spowodowała szarpnięcie w jego sercu.

Kasię poślubił z miłości. Zobaczył ją na weselu u kuzynostwa w Pruszkowie, gdzie witała młodych chlebem i solą, i zakochał się w niej bez pamięci. Wcześniej niewiele miał doświadczeń z kobietami. Nie był taki jak Kajtek, który każdą ciągnął na siano albo za remizę, ani taki jak Roman, którego interesowały tylko popijawy w knajpie, ani nawet jak Stefek, który pracował od świtu do nocy, wbijając sobie do głowy, że zanim się ożeni, musi mieć dom, stodołę i stajnię, a w niej stado koni. Stanisław, wyszydany przez braci, udawał, że po zabawie idzie z dziewczyną na stronę, ale tam do niczego nie dochodziło, poza uciskaniem jej piersi albo miażdżeniem ust. Z jedyną Zochą połączyło go coś więcej, ale Zocha była zupełnie inna niż reszta

dziewczyn. W ogóle nie dbała o reputację, dawała każdemu, kto tylko chciał, z zapalem wymieszonym z dziwną obojętnością na wstyd i upokorzenie. Zupełnie nie przejmowała się, że może „zacieżyć” i rzeczywiście nie zdarzyło jej się do tej pory, chociaż mówiono, że miała wielu mężczyzn. Z nim Zocha szła na siano szczególnie chętnie, zachowując się, jakby jej było Stanisława żal. Próbowwała okiełznać wstydlive pierwsze próby, i co prawda to prawda, parę rzeczy go nauczyła, tak że nie musiał się potem wstydić przed Kasią. Kiedy Kasię poznał, spotkał się jeszcze raz z Zochą i powiedział jej, że ma teraz „prawdziwą” narzeczoną. Zocha prychnęła i językiem oraz paroma ruchami bioder uświadomiła mu, że może ma i dobre chęci, ale z wykonaniem to już gorzej. Stanisław z początku żałował, że zrobili to „jeszcze raz”, Zocha, jak to Zocha, z dawnym zapalem, a on jako skromny narzeczonej panny z warkoczami. Potem ten „ostatni raz” przeciągnął się do kilkunastu, a kiedyś Zocha przyszła i wybuchnęła płaczem, że jest w kłopotach i to jego, Stanisława, kłopoty, tak więc musi zerwać z narzeczoną i ożenić się z nią. Wtedy Staś uświadomił sobie, że żal z powodu utraty Kasi byłby zbyt wielki, żeby mógł go wytrzymać, co potem jego najmilszy brat Władek nazwał „miłością”. Na wieść o tym, że miałyby się ożenić z Zochą, do której odczuwał mieszaninę pożądania i przywiązania, przeraził się nie na żarty, ale wrodzona uczciwość kazała mu schylić głowę i powiedzieć, że skoro tak się stało, to niech będzie. Wtedy Zocha wybuchnęła śmiechem i wyznała, że ona tak ze złości tylko powiedziała. Stanisław miał ochotę uderzyć Zochę albo ją uściskać, co zresztą zrobił, to znaczy najpierw trzasnął ją w twarz, a potem przycisnął do serca. Więcej się z nią nie spotkał na sianie. Kiedy mijali się w drodze do kościoła albo spotykali w samym kościele, Stanisław kiwał uprzejmie głową, ignorując pełne pogardy spojrzenia prawdziwych chrześcijan, którzy zrozumieć nie mogli, jak ktoś taki jak Zocha mógł chodzić do świątyni. Co więcej, gorliwie klęczać przy samym ołtarzu i szeptać modlitwy, jakby nie słynęła z rozwiązłego życia.

Z Kasią ożenił się po roku, a rodzice wyposażyli go w hektar ziemi tuż przy Podkowie Leśnej oraz przyzwoitą sumę pieniędzy na rozpoczęcie budowy domu. Stanisław, stolarz z wykształcenia, podjął zobowiązanie z przyjemnością i po ślubie z Kasią postawił w jedno lato drewniany sześćdziesięciometrowy domek przy pomocy braci, głównie Władka i Kajtka. Kasia po roku urodziła Tadzika, potem Wacka i zajęła się ich wychowaniem, a Stanisław stawiał altany, domy, przybudówki i robił meble bogaczom z Podkowy Leśnej, którzy początkowo traktowali go z góry, ale szybko zorientowali się, że Stanisław ma złote ręce i potrafi nimi sklecić dosłownie wszystko. Żyli więc całkiem spokojnie i mogli nawet pomagać innym. W ramach tej pomocy sprowadzili na przykład Andzię, daleką kuzynkę Kasi, która mówiła do nich „pan i pani”, pochodziła z zupełnie zubożałej rodziny, a jej rodzice ledwie

wiązali koniec z końcem. Za pracę w domu Andzia dostawała wynagrodzenie i miejsce przy rodzinie, chętnie przyjmowała zatem „łaskawy chleb”. Była czysta, pracowita i cicha, co szczególnie podobało się Stanisławowi. Miał nadzieję, że Andzia pozna jakiegoś miejscowego kawalera i wyjdzie za mąż, a on pobłogosławi ten związek.

Zapukał do drzwi doktora i rozejrzał się dokoła. Świtało. Wielkie, czerwone słońce wynurzało się od strony Pruszkowa. Stanisław pomyślał, że wschód słońca jest piękny. Zwykle zwiastował mu pracę, te wszystkie deski, które leżały równiutko pokładane, tylko czekały na oheblowanie i wyrwały się do gwoździ.

Zapukał jeszcze raz, bardziej energicznie. W końcu zapaliło się światło i zaspany doktor Brzozowski wyszedł na ganek.

– Doktorze, źle z Kasią... – powiedział Stanisław. – Rodzi i coś niedobrze się stało...

Lekarz kiwnął głową i schował się w sieni. Po niecałej minucie wyszedł kompletnie ubrany z torbą lekarską w rękę i usiadł obok Stanisława na kozle. Droga upłynęła im praktycznie bez słowa. Doktor, słyszący z małomówności, nie pytał, na czym polega „źle z nią”, uznawszy widocznie, że Stanisław i tak mu nie powie tego, co chciałby wiedzieć. Stanisław z kolei miał ogromne trudności z ubieraniem emocji w słowa i z reguły ograniczał się do chrząknięć albo grymasu ust. Bywało oczywiście, że wzruszał się, ale raczej nie z powodu narodzin dzieci, tylko wtedy, kiedy rodziły się jego meble.

– Doktorze. – Karwasiowa wyszła na powitanie, kiedy tylko usłyszała zajeżdżającą bryczkę. – Jedna się urodziła, drugie nie może... Kasia już na dobre... nie mówi...

Doktor zdjął płaszcz i poszedł za Karwasiową do pokoju, skąd nie dochodziły żadne dźwięki. Stanisław usiadł ciężko na fotelu i wpatrzył się w drzwi. Walczył ze sobą, bo bardzo chciał wejść do środka i pomóc w czymkolwiek, ale siedział na fotelu jak przyklejony i szeptał modlitwy. Przyszło mu do głowy, że powinien obiecać Panu Bogu coś specjalnego w zamian za życie Kasi. Chwilę zastanawiał się, co by to mogło być, ale poza pomocą przy stawianiu nowej plebanii nic nie przychodziło mu do głowy. Wreszcie przyrzekł sobie, że jeśli Bóg uratuje Kasię, to on postawi w kościele dwa nowiutkie konfesjonały, jeden za życie Kasi, drugi za życie dziecka. Obiecał to Panu Bogu, dodając kilka razy w myślach: „dwa konfesjonały za dwa życia”.

Po dwóch godzinach oczekiwania drzwi pozostały tak samo zamknięte, za to skrzypnęły inne i oczom Stanisława ukazały się rozczochrane głowy Wacka i Tadzika, którzy wpatrywali się w ojca pytającym spojrzeniem.

– Mamusia – zaczął. – Mamusia... jest tam... – zakończył niezręcznie i pokazał palcem drzwi.

Tadzio kiwnął głową, a Wacek spojrział na drzwi.

– A co tam robi? – spytał.

Stanisław nie wiedział, co powiedzieć. Nie miał pojęcia, czy jego synowie wiedzą o ciąży swojej matki. Nigdy z nimi nie rozmawiał na ten temat. Wyjaśnienie im, że Kasia rodzi i wystąpiły jakieś komplikacje, było ponad jego siły, zwłaszcza że nie miał pojęcia, o jakie problemy dokładnie chodzi. Zamknięte drzwi z jednej strony stanowiły męczącą niewiadomą, z drugiej jednak, dopóki doktor i akuszerka nie wychodzili, dopóty rysowała się nadzieja, że wszystko będzie dobrze.

– Mamusia jest chora – powiedział, bezradnie rozkładając ręce. – Jest u niej doktor...

– Jesteśmy głodni – poskarżył się Tadeusz. – Handzia da nam mleka?

– Ja wam dam. – Ruszył się z miejsca Stanisław.

Nalał mleko do kubków i postawił na stole. Potem ukroił po pajdzie chleba, posmarował niezręcznie masłem i nałożył miodu. Chłopcy usiedli przy stole i zaczęli jeść.

– A mama wyzdrowieje?

Pytanie padło z ust Wacka, który wydawał się bardziej wrażliwy na sprawy wokół niego niż Tadeusz, dla którego najważniejsze było to, żeby dostać jeść i móc wykręcić się od lekcji. Wacek miał ponadto lepsze relacje z ojcem, czasami zamieniali parę słów przy śniadaniu czy kolacji, ale milczące porozumienie łączyło ich przy Stanisławowej pracy. Chłopiec przychodził do warsztatu i siadał w milczeniu, patrząc na silne, zwinne ręce ojca, spod których wychodziły zgrabne krzesła, prościutkie stoły czy ozdobne skrzynki na kobiece drobiazgi. Czasami Stanisław udawał, że nie widzi Wacusia, tylko pracował w spokoju, ale zaczynał na głos mówić, co robi, żeby Wacek mógł nie tylko podziwiać, ale i rozumieć, na czym polega ciesiołka. Jako ojciec był przekonany, że Wacek odziedziczy kiedyś po nim warsztat i będzie robił równie zachwycające rzeczy, z taką samą miłością, co on sam.

Tymczasem w pokoju rozgrywały się sceny dramatyczne. Kasia leżała nieprzytomna, mała dziewczynka w kołysce, po nakarmieniu kilkoma kroplami mleka koziego, zasnęła spokojnie, a doktor walczył o życie Kasi i drugiego dziecka, którego rączka wystawała z łona matki.

– Zwilżajcie jej wargi – zarządził doktor, który kilka razy wkładał ręce w Kasię, próbując przywrócić dziecku prawidłowe położenie.

Andzia i Karwasiowa skwapliwie na przemian wycierały czoło Kasi i zwilżały jej wargi wodą.

– Doktorze. – Akuszerka nie wytrzymała. – Może dać spokój... Ona przecie trzy ćwierci do śmierci...

Doktor popatrzył na nią surowo. Przyzwyczajony był do wypełniania przysięgi Hipokratesa i ratowania życia do samego końca.

– Ale jeszcze kostucha nie przyszła – ripostował. – Poza tym dziecko żyje...

Mała rączka rzeczywiście przebierała paluszkami od czasu do czasu, co powodowało, że nie tylko Andzia, lecz także Karwasiowa wzdrygały się ze strachu. Kasia ledwo oddychała, leżała nieruchomo, jakby ciało już nie należało do niej. Jedyne brzuch jej żył i falował co chwila, jakby tylko on był zainteresowany w wydaleniu małego życia na świat.

Doktor tymczasem podjął ostatnią próbę pomocy dziecku.

– Jest w środku – mruknął do siebie i wyprostował się. – Pomóż mi – zwrócił się do Karwasiowej.

Akuszerka pokiwała głową i otarła łzy. Zamienili się miejscami. Ona stanęła między nogami Kasi, a doktor z boku. Kiedy nadszedł skurcz, popchnął od góry, przez skórę, dziecko do świata i spojrzął na akuszerkę.

– Wstawiło się główką – potwierdziła.

Kasia na krótko otworzyła oczy i jęknęła, łapiąc się białymi rękoma za brzuch.

– Nie byli pierwsi na świecie, ale przeżyli i zostali w nim na zawsze... – powiedziała jasnym i czystym głosem.

– Pani Kasiu – chlipnęła Andzia i zbliżyła swoją twarz do twarzy kobiety. – Niech się pani postara, bo dziecko się udusi...

Ale Kasia więcej nic nie powiedziała. Jęknęła kilka razy przy wychodzeniu dziecka, ale nie usłyszeli już nic na kształt słowa z jej ust.

Druga dziewczynka przyszła na świat całkiem niebieska i ledwie oddychająca. Zamiast płaczu wydała cichutkie kwilenie i opadła z sił.

– Żyje – oznajmiła Karwasiowa, a Andzia zaniosła się płaczem.

– Co to za życie – mruknął doktor, zamykając Kasi powieki. – Nie dożyje pewno niedzieli...

Chwilę postali przy zwłokach Kasi, Andzia i Karwasiowa szepcząc modlitwy za jej duszę, a doktor analizując, czy na pewno wszystko zrobił dobrze i niczego nie zaniedbał. Tak naprawdę mógł sobie pogratulować wyciągnięcia drugiej dziewczynki z brzucha Kasi, mniej doświadczony lekarz nie umiałby włożyć ręki do macicy kobiety, odkręcić dziecka i wyciągnąć na świat, nie przecinając brzucha.

Jan Brzozowski był lekarzem z powołania, prawdziwym doktorem, który i poród umiał odebrać, i wrzód wyciąć, a nawet zahamować ataki padaczki. Radził sobie ze śmiercią pacjentów, wychodząc z założenia, że do niego należy wykonanie wszystkiego, co w ludzkiej mocy, a do Pana Boga przyjęcie tego lub odrzucenie. W przypadku Kasi czuł jednak ogromny żal. Pamiętał, kiedy ją samą na świat przyjmował.

Był wtedy lekarzem w Pruszkowie i wezwano go do komplikacji, właśnie do Ożarowskich. To nie były wielkie komplikacje i z łatwością dał sobie z nimi radę. A teraz Kasia, która wtedy z jego pomocą wymknęła się z objęć kostuchy, leżała martwa, między nogami miała żywe mięso, a na skórze sine plamy.

– Kto powie panu Stanisławowi? – zapytała Andzia, wciąż płacząc i wycierając oczy w fartuch.

To naturalne, że w grę wchodzili Karwasiowa albo doktor. Akuszerka zrobiła krok do przodu, ale doktor zatrzymał ją gestem, westchnął i powiedział do Andzi:

– Pierwsza dziewczynka jest zdrowa i wszystko z nią w porządku. Ta druga jest bardzo słaba, ale coraz lepiej oddycha. Jeśli przeżyje jutro, to kto wie, może będzie żyła...

Andzia znów chlipnęła.

– Nie karm jej kozim mlekiem, tylko znajdźcie mamkę – kontynuował doktor. – To bardzo ważne. Bliźniaczki trzeba trzymać w ciepłe. Obie...

– Bliźniaczki? – odzyskała mowę Andzia.

Doktor spojrzał na nią zdumiony.

– Bliźniaczki – potwierdził. – Dziewczynki. Trzeba je ochrzcić, bo...

Zawiesił głos.

– Jedna urodziła się dwudziestego szóstego czerwca, a druga dwudziestego siódmego... – zauważyła Karwasiowa, zaglądając do kołyski. – Bliźniaczki, niebliźniaczki...

– To nie ma znaczenia – powiedział lekarz. – Z jednej matki, o jednym czasie na świat przyszły... Dwa łóżyska miały, to im uratowało życie...

Karwasiowa nie śmiała powiedzieć, że drugie łóżysko zostało w Kasi, a ona bardzo chciałaby je mieć w swojej dębowej skrzyneczce. Myślała nawet, że przykładanie tego łóżyska pomogłoby drugiej, ledwie dychającej dziewczynce przeciągnąć ją na ten świat. Zaczęła się modlić do Najświętszej Pani, szepcząc litanie i prosząc ją, żeby dzieci oszczędziła. Doktor się nie modlił, ale zastanawiał się, skąd wziąć siłę na to, żeby Stanisławowi powiedzieć, że właśnie został wdowcem i kto wie, może razem z żoną pochowa też jedną bądź dwie córeczki. Zebrał się jednak w sobie i wyszedł do siedzącego pod drzwiami mężczyzny.

Późne popołudnie kładło się cieniem w sadzie, który otaczał dom. Tadzik i Wacek biegali między drzewami łapani w krzyżowy blask promieni słonecznych. Było bardzo ciepło.

– Co z nią? – spytał Stanisław. Nawet nie uniośł głowy.

– Nie żyje. – Doktor rozłożył ręce w bezradnym geście.

– A ja konfesjonał obiecałem... – Stanisław schował głowę w dłoniach.

– Masz dwie córki. – Doktor wyjął z kieszeni kraciatą chustkę i otarł zroszone czoło.

Stanisław poderwał głowę i wpatrzył się w doktora ze zgrozą.

– Dwie córki? – spytał zdławionym głosem. – Dwie?

– Dwie – potwierdził doktor. – Pierwsza urodziła się normalnie, ale ta druga była w nieprawidłowym położeniu. Udało mi się ją odkręcić i przyszła na świat, ale jest bardzo słaba...

– Dwie córki, dwa konfesjonały, dwa życia... – powtarzał Stanisław. – Czemu ja nie obiecałem trzech?

Doktor był przekonany, że nieszczęśnik bredzi z pomieszania zmysłów, ale twarz Stanisława nie wyrażała szaleństwa, tylko cichą rozpacz i żal.

– Stanisławie. – Doktor położył rękę na ramieniu mężczyzny. – Pozbieraj się, chłopie, i ratuj dziewczynki...

– Czemu ja trzech nie obiecałem? – mężczyzna powtarzał raz za razem pod współczującym spojrzeniem doktora. – Czemu tylko dwa? Czemu dwa?

– Stanisławie – powiedział doktor. – Ciężko będzie, ja wiem..., ale nie czas na płacze. Musisz mamkę znaleźć dla dzieci. Antonina Karwasiowa pomoże Andzi i tobie...

– Czemu ja trzech nie obiecałem? – pytał Stanisław, któremu wydawało się, że to z jego winy targi z Panem Bogiem się nie powiodły.

– Czego nie obiecałeś? – Doktor się poddał.

– Obiecałem dwa konfesjonały Panu Bogu, jeśli Kasię i dziecko uratuje. Po jednym za każde życie.

Doktor współczująco spojrział na Stanisława.

– Nie wiedziałeś, że dzieci jest dwoje... – pocieszał go. – Nawet Karwasiowa się nie zorientowała na początku, a przecież doświadczona akuszerka. Druga dziewczynka była w poprzek ułożona, pod samym sercem...

Stanisław nadal toczył dokoła nieprzytomnym spojrzeniem.

– Pod samym sercem ułożona, a serce Kasię bić przestało... Co ja mam teraz zrobić? – zapytał doktora.

Karwasiowa i Andzia wyszły z pokoju. Andzia chlipiąca, akuszerka ze współczującym spojrzeniem.

– Pani Kasia... – Andzia zaniósła się głośnym płaczem. – Pani Kasia umyta, przygotowana leży, ubrać trzeba...

Doktor ponownie położył rękę na ramieniu mężczyzny i uznawszy, że nic tu po nim, poprosił Stanisława o odwiezienie go do domu. Stanisław pokiwał głową i wyszedł za lekarzem, rzuciwszy w stronę Andzi, żeby Kasię w suknię ślubną ubrała

i broń Boże chłopców do niej nie wpuszczają. Akuszerka zapytała, czy może się zabrać z doktorem i Stanisławem, bo mamki musi poszukać. Wprawdzie już wie, kto może dziewczynki karmić, ale zapytać musi, a Stanisław ma do niej przyjechać do domu równiutko za dwie godziny, wtedy mamkę przywiezie do dziewczynek. Andzia, ciągle zanosząca się płaczem, bała się zostać w jednym domu z trupem, ale powiedziała, żeby jechali, ona tu wszystkiego dopilnuje, dziewczynki takie cichutkie niebożątka są, ta pierwsza to jeszcze kwili, ale druga tylko patrzy, więc może by po księdza. Przecież też i panią Kasię trzeba księdzu pokazać, żeby Bogu polecił. Tak, zgodził się doktor, chrztu uroczystego nie będzie, po księdza lepiej posłać od razu. To i dziewczynki ochrzci, i Kasię pochowa.

– Nic chłopcom nie mów... – rzucił na odchodnym Stanisław i poszedł z akuszerką oraz z doktorem.

– Nie wpuszczę chłopców do nieboszczki – mruknęła Andzia przez łzy i korzystając z tego, że była sama w domu, zaczęła lamentować:

– Moja biedna pani Kasiu... Życie, co dałaś, cię zabiło. Jeszcze wczoraj była żywa, a dziś na marach położą i świece palić będą. Pan Stanisław to nawet nie chciał spojrzeć ani na panią, ani na dziewczynki dwie, malutkie takie niebożątka...

Przyszło jej do głowy, że dziewczynki nie powinny leżeć przy zmarłej matce, weszła zatem do pokoju i spojrzała ze strachem na ciało Kasi, które leżało umyte, ale nieubrane, przykryte pierzyną niezwykle starannie, jakby Kasia miała zmarznąć. W kołysce, którą Stanisław własnymi rękoma wystrugał dla Tadzika, a potem Wacka, leżały dwa malutkie ciała. Obie nowo narodzone dziewczynki spały głęboko przykryte pieluszkami i czystą wełną. Andzia wpatrzyła się w nie. Cisza, która zapadła w domu, miała w sobie coś złowieszczonego. Dziewczyna przeżegnała się, złapała kołyskę i przeniosła do kuchni. Starannie zamknęła drzwi do pokoju. Dziewczynki ciągle spały. Chłopcy bawili się beztrąsco na podwórzu. Jeden z nich wchodził na jabłoni i próbował dosięgnąć niedojrzałych jabłek. Andzia wybiegła na dwór.

– Złazcie mi stamtąd, smyki jedne! – krzyknęła. – Takie nieszczęście, a wy jabłka marnujecie!

– Handzia! – wrzasnął Wacek. – Mama już wyzdrowiała?!

Po czym skoczył z wysokiej gałęzi na ziemię.

– Jakie nieszczęście? – spytał w tym samym momencie Tadeusz, który wisiał na gałęzi niczym małpka.

– Złazcie mi tu szybko, żeby tata was nie zobaczył – rozkazała Andzia. – Wiecie, jak się gniewa, kiedy drzewa kaleczycie...

Tadzik równie zgrabnie zeskoczył na ugiętych nogach i podszedł do dziewczyny.

– Gdzie mama? – Wacek nie ustępował.

– Chodźcie do środka – zarządziła Andzia i zrobiła groźną minę, chociaż zbierało jej się na płacz. – Pokażę wam coś, a raczej kogoś...

Chłopcy podreptali za nią do kuchni. Andzia wprowadziła ich uroczyście i pokazała kołyskę.

– To siostrzyczki – powiedziała, wskazując dwie śpiące istotki.

– Siostrzyczki? – Wacek spojrział z niedowierzaniem. – A skąd się wzięły?

– Bocian przyniósł – zaczął się śmiać Tadzik. – Ale ty głupi jesteś. – Popchnął brata.

Wacek złapał Andzię za rękę.

– Po co one tu przyszły, te siostrzyczki? – spytał. – Niech je mama odda z powrotem. Albo ty je odnieś...

Tadzik zanosił się śmiechem. Andzia siłą powstrzymywała łzy.

– Chcę do mamy. – Chłopczyk nie ustępował.

– Mama śpi. – Andzia pocałowała go w czoło. – A tata zaraz wróci i wszystko wam powie o... siostrzyczkach.

Tadzik wzruszył ramionami i zapytał, czy może dostać jeszcze jedną pajdę chleba z miodem. Wacek stanął przy kołysce i wpatrzył się w nowo narodzone dziewczynki.

– Czemu one nie mówią? – Dotknął paluszką policzka śpiącej. Dziecko nawet się nie poruszyło. – A kiedy będą chodziły?

Andzia stała odwrócona tyłem i nieco drżącą ręką kroił chleb w grube pajdy. Myślała, żeby posypać chłopcom chleb solą, ale wobec śmierci ich matki postanowiła chociaż trochę osłodzić im sieroctwo i hojnie nałożyła masła i miodu.

– Będą chodziły, jak urosną – powiedziała do Wacka, podając mu kromkę. – Teraz są maluśkie i będą ciągle spały.

Tadzik i Wacek wyszli na zalane słońcem podwórze, jedząc szczodre pajdy, rozmawiając między sobą i nie poświęcając już żadnej uwagi śpiącym siostrom, a Andzia ponownie zanosła się płaczem. Cisza, świadomość obecności śmierci w domu i milczące noworodki wydawały jej się zbyt dużym ciężarem. Marzyła, żeby wrócił pan Stanisław i pomógł jej ubrać Kasię. Sama nie miała na to siły. Poza tym nie wiedziała, gdzie szukać sukni ślubnej. „No i umarłą powinna chyba ubierać rodzina, ta bliska, a nie ja”, myślała sobie. Przeszkadzało jej to, że dziewczynki się nie odzywają. Bała się, że one też odejdą do wieczności, zanim Stanisław wróci, i będzie to być może jej wina. Pamiętała swoje własne dwie młodsze siostry, które po urodzeniu darły się wniebogłosy całymi dniami i nocami, a jej matka, śpiewając, karmiła je, myła i tłumaczyła starszemu rodzeństwu zatykającemu uszy, że z dziećmi po prostu tak jest. Zerknęła ponownie do kołyski i rozbijała drewniany mebel. Większa dziewczynka otworzyła oczy i wpatrzyła się w twarz Andzi. Mniejsza drgnęła

i wydawało się, że otworzy oczy, ale tylko ruszyła gałkami pod zamkniętymi powiekami i znieruchomiła. Andzia przestraszyła się, że dziecko nie żyje. Wyjęła je z kołyski i przytuliła. Na główce pulsowała mała niebieska żyłka. Malutkie paluszki objęły Andziny kciuk i ścisnęły lekko. Dziewczynę zalała fala czułości.

– Co, maleńka? – Poglaskała dziecko po główce. – Skarbeczku ty nasz, sierotko nieszczęsna...

Siostrzyczka w kołysce jak na komendę otworzyła oczy i zanosła się płaczem.

– Zazdrościsz, co? – Uśmiechnęła się Andzia i wzięła i drugą na ręce. – Pewnie, to nie uchodzi, jedną bujać, drugą zostawiać...

I z obiema dziewczynkami w ramionach zaczęła chodzić po kuchni i modlić się do Najświętszej Marii Panny, polecając jej życie dzieci i błagając, żeby je na ziemi zostawiła. A potem zaczęła tańczyć do muzyki, która grała jej w głowie. Taką kołyszącą się z dziećmi na rękach zastał ją Stanisław, który przyjechał do domu z babcią Bronisławą i grubą wiejską dziewczyną, co do której Andzia domyśliła się, że jest mamką.

– Co ty najlepszego, dziewczyno, wyczyniasz? – podsumowała te tańce groźna ciotka Bronisława i Andzia zatrzymała się w pół kroku, odłożyła dziewczynki do kołyski i spuściła głowę.

– Chodź ze mną – powiedziała Bronisława, wdychając ciężko i Andzia posłusznie poszła do pokoju, gdzie Kasia, tak samo martwa jak przed dwiema godzinami, czekała na ubranie.

Mamka tymczasem usiadła bezceremonialnie na kanapie, odsłoniła wielki cyc, wzięła większą z siostr i przystawiła jej malutkie usteczka do ogromnego sutka. Dziecko wyglądało, jakby się miało udusić wielką piersią, ale zaczęło jeść.

Stanisław uciekł od tego widoku prosto do pokoju, w którym jego matka i Andzia ubierały Kasię.

– Nie utrudniaj mi, synowo – mamrotała Bronisława, wkładając na rozciągniętą skórę Kasi bieliznę i pończochy.

Suknia ślubna leżała obok na krześle. Stanisław wpatrzył się w ciało żony, a potem odwrócił wzrok. Czuł się zupełnie zbędny. Nawet nie jak mebel, te przecież były mu bliskie i drogie. Niektóre nawet traktował jak dzieci i trudno było mu oddać je w ręce właścicieli. Poczuł się jak drzewo, które stoi i szumi na wietrze, niemy obserwator, nieruchomy w swoim majestacie, ale zupełnie pozbawiony możliwości działania. Wyszedł z pokoju, wyminął mamkę, która przystawiała do piersi drugą dziewczynkę, i wyszedł na słoneczne podwórze. Zawołał synów. Młodszy przyszedł natychmiast, starszy nieco się ociągał, ale on też poszedł.

– Chodźcie ze mną – powiedział Stanisław i poszedł prosto do warsztatu.

Chłopcy podreptali za nim zdenerwowani, ponieważ ojciec miał taką minę, jakby chciał ich ukarać. Tadzik nawet pomyślał, że może Andzia poskarżyła się, że chodzi po drzewach i ojciec chce z tego tytułu wyciągnąć konsekwencje. Tyle że nawet jak na chodzenie po drzewach, to ojciec miał zbyt ponurą i zasępioną minę.

– Usiądźcie, chłopcy – powiedział, wskazując dwa świeżo zrobione krzesła, kiedy weszli do warsztatu.

Sam usiadł na niskim stołku, który zrobił z resztek drzewa z większej robótki i zatrzymał w warsztacie.

– My nie urywaliśmy jabłek. – Wacek nie wytrzymał.

– No właśnie. – Tadzik pokiwał głową. – Tylko raz skoczyliśmy...

Stanisław smutno popatrzył na chłopców. Młodszy miał na buzi ślady miodu, starszy masło w gęstych, czarnych włosach. „Skąd on ma te czarne włosy?“, zastanowił się po raz setny. „Przecież nie po Kasi ani po mnie...”. Istotnie, Kasia była niebieskooką blondynką, z dwoma pszennymi warkoczami, których nie ścięła nawet po ślubie. On sam był znacznie ciemniejszy, ale oczy miał zielone i włosy koloru żytniego chleba.

– Macie siostrzyczki... – zaczął.

– Andzia nam pokazywała. – Tadzik kiwnął głową, ciesząc się, że ojciec najwyraźniej nie zamierza mówić im o jabłkach, tylko prosić, żeby synowie nie kazali mu oddawać siostrzyczek.

– No właśnie... – Stanisław się męczył. – I mama...

– Śpi... – dokończył Wacek. – Nie wolno jej budzić, bo jest chora i był doktor. My nie budziliśmy mamy...

Stanisław był napięty jak struna. Do niego samego nie docierał fakt, że w ten letni dzień, tuż po przesileniu, został ojcem i wdowcem, a co dopiero, jakby miał myśleć o tym, w jaki sposób przekazać synom tę straszną wiadomość.

– Mama już się nie obudzi, ponieważ... umarła... – wyrzucił z siebie jednym tchem.

Chłopcy się nie poruszyli, tylko dalej czekali na przemowę Stanisława. Ani jeden, ani drugi nie zrozumiał, o czym mówi ich ojciec.

– A siostrzyczki? – spytał Wacek bardziej grzecznościowo niż rzeczywiście tym zainteresowany.

– Chłopcy – westchnął Stanisław. – Mama odeszła do Pana Boga... Bo urodziła dzieci... Chociaż nie dokładnie dlatego, ale tak się stało...

Chłopcy wpatrywali się w niego szeroko otwartymi oczami.

Wacek zerwał się z krzesła i wybiegł z warsztatu. Tadeusz siedział na swoim krześle jak skamieniały.